GRAHAM

MASTERTON

SIOSTRY KRWI

Rozdział 1

– Słyszałeś to? – zapytała Cliodhna.

– Co niby? – odpowiedział pytaniem Brian. Kręcił się w kółko i rozglądał za Christy, ich wilczarzem irlandzkim. Stali wysoko na nadmorskiej skarpie w pobliżu Nohaval Cove. Dął mocny, porywisty wiatr, z południowego zachodu sunęły granitowoszare chmury, wlokąc pod sobą firany deszczu.

– Naprawdę słychać czyjś krzyk – nie dawała za wygraną Cliodhna. Gdy odgarnęła w tył kaptur czerwonej bluzy przeciwdeszczowej, wiatr uniósł jej jasne włosy. – Dochodzi chyba z dołu, z plaży.

Brian zatrzymał się i nadstawił uszu.

– E, nie – odparł po chwili. – Nic nie słyszę.

– Przysięgłabym, że się ktoś darł.

– Christy! – zawołał Brian. – Gdzieżeś ty, kurde, poleciała, matole jeden!

– No, ale nie mów tak do niej – obruszyła się Cliodhna.

– Czemu? Zacznie papugować czy co?

– Nie, ale to obraźliwe. Ona też jest stworzenie boże, tak jak my.

Brian już miał po raz kolejny zawołać psa, lecz raptem wiatr przycichł na chwilę i gdzieś w dole rozbrzmiał wysoki chrapliwy wrzask. Podobnie zatrważający dźwięk wyrwał się z gardła jego kolegi kierowcy, kiedy w zajezdni autobusowej

Capwell przygniotła go do ściany cofająca się dwieścieczternastka. Był to rozpaczliwy krzyk bólu i bezradności kogoś, kto wie, że doznane obrażenia nieuchronnie zakończą się dla niego śmiercią.

– Matko Boska – westchnął Brian i zbliżył się do urwiska na tyle, na ile pozwoliła mu odwaga. Długa trawa smagała go po nogach. W dole ścieliła się niewielka połać plaży, lecz zwisająca skarpa nie pozwalała jej zobaczyć. Dostrzegał tylko najeżone ostrymi krawędziami czarne głazy oraz pieniącą się między nimi falę przyboju. Morze miało barwę ciemnej jadowitej zieleni.

– Ale to nie Christy, prawda? – zapytała Cliodhna. – No, nie mów mi, że spadła ze skały.

Brian odsunął się od krawędzi i pokręcił głową.

– No coś ty! Głos Christy to raczej nie jest. Prędzej jakiegoś faceta, moim zdaniem. Zejdę na dół i zerknę.

– Może zadzwońmy po karetkę. Bo ten ktoś chyba jest ranny, nie?

– Daj mi się wpierw rozejrzeć. Poza tym wątpię, czy złapiesz tu zasięg.

Brian dotarł do ciasnego przesmyku między dwiema zwalistymi skałami o poszarpanych graniach. Minęły już lata od czasu, gdy tamtędy schodził, ale najwyraźniej ludzie wciąż korzystali z tej wąskiej ścieżki, by dostać się na plażę. Ktoś wetknął nawet pusty bidon w skalną szczelinę.

Kiedy zaczął się zsuwać, chwytając się kęp trawy i kolcolistów, usłyszał znowu okrzyk: szorstki, gardłowy i przepełniony rozpaczą. Brian odwrócił się i spojrzał na Cliodhnę. Zasłaniała sobie usta dłonią, jakby chciała zawołać, żeby wrócił, a jednocześnie rozumiała, że Brian musi iść dalej.

Napłynęły chmury i zakryły słońce, zaczynało mżyć. Przecisnął się obok skalnego występu, później jednak ścieżka biegła jeszcze bardziej stromo. Musiał ustawić się twarzą do ściany i schodzić tyłem jak po drabinie.

Kiedy zrobiło się trochę równiej, mógł się odwrócić i

dopiero wtedy zobaczył plażę. Była tam klinowata zatoczka o długości nie większej niż siedemdziesiąt metrów. Szpiczaste głazy wyglądały, jakby ktoś specjalnie poutykał je w piasek, by odstraszać najeźdźców.

Teraz jednak sterczały tylko ich wierzchołki, bo plażę zaścieliły truchła koni. Brian nie umiał ich zliczyć. Większość była brązowych i napęczniałych, lecz niektóre zgniły już do tego stopnia, że przypominały worki włochatej skóry z wystającymi kośćmi. Dostrzegał kopyta, grzywy i splątane ogony. Odór był zadziwiająco słaby, ale ostatecznie trwała zima i chłodne morze z każdym przypływem zalewało to cmentarzysko.

Nie schodził dalej, tylko wyjął z kieszeni wiatrówki iPhone'a i pstryknął sześć, może siedem zdjęć.

– Brian! – zawołała Cliodhna. – Nic ci nie jest? Christy tam nie ma, co?

– Nie, nie ma jej tutaj. Już idę na górę!

Zaczął się wspinać z powrotem, lecz nagle rozległ się głośny krzyk. Zaskoczony Brian obrócił się i wtedy podeszwy jego butów szurnęły na skale. Omal się nie poślizgnął i nie runął na sam dół.

Zobaczył, że jeden z koni uniósł łeb i patrzy na niego przekrwionym okiem. Wydał niski świst podobny do dźwięku dud, z których uchodzi powietrze, a potem łeb znów opadł. Jezu, pomyślał Brian, to biedne bydlę wciąż żyje. I co ja mam teraz zrobić, na wszystkie świętości?

Wdrapał się jakoś na górę. Nim dotarł na szczyt klifu, deszcz zacinał już mocno. Cliodhna stała przygarbiona z podniesionym kapturem.

– Co się stało? – zapytała na widok miny Briana. – Coś tam zobaczył?

– Konie – odparł i wyjął iPhone'a, żeby sprawdzić zasięg, choć miał świadomość, że to beznadziejne. Trzeba będzie dojechać do najbliższego domostwa i dopiero stamtąd wezwać służby ratownicze.

– Konie? – powtórzyła. – Jak to konie?

– No, konie, całą masę koni. Wszystkie nieżywe oprócz tego jednego, którego zawodzenie żeśmy usłyszeli.

– I co teraz zrobisz?

– No, jak to co, zadzwonię po weterynarza. Będą go chyba musieli uśpić, nie? Bo przecież, kurde, nie pójdę tam i nie uzdrowię szkapiny cudownym pocałunkiem życia.

Uniósł rękę do oczu, osłaniając je przed deszczem.

– Gdzie ta cholerna Christy? Czasem aż mnie korci, żeby wziąć kija na tego kundla!

– Zostanę, a ty idź i dzwoń – powiedziała Cliodhna.

Koń znowu zarżał żałośnie jakby dla podkreślenia, że sytuacja jest krytyczna. Być może dzięki echu odbijającemu się od skał odgłos zabrzmiał tak samo jak za pierwszym razem – przypominał rozpaczliwy krzyk człowieka.

– No dobra – zgodził się Brian. – Ale ty tu zostań i nie podchodź za blisko do krawędzi. I tak nic nie dojrzysz, a ja nie chcę, żebyś tam wylądowała jak te szkapy.

Ruszył w kierunku rogu brązowego zaoranego pola, gdzie zostawił swoje duże volvo kombi. Gdy się zbliżył, spostrzegł, że Christy siedzi obok auta, brudnoszara, sczochrana i cała mokra, z wywalonym jęzorem. Na widok Briana wstała i otrząsnęła się, ale nie ruszyła się z miejsca, jakby chciała czym prędzej wsiąść i pojechać do domu.

Brian zatrzymał się, wsunął dwa palce do ust i gwizdnął ostro na Cliodhnę. Potem skinął na nią ręką.

Odwrócił się znów do Christy, z której gardła wydobywał się dziwny chrapliwy głos. Niezbyt ci tu fajnie, co? – pomyślał. Ty wiesz, że podle się tutaj narobiło. Chyba jednak nie jest z ciebie aż taki matoł, jak sądziłem.

Rozdział 2

Katie wysunęła się z małej łazienki w gabinecie i zobaczyła detektywa komisarza O'Rourke'a, który stał przy jej biurku z niebieską teczką w dłoni.

– O, Francis. Proszę wybaczyć, że musiał pan czekać.

– Nie ma sprawy, pani nadkomisarz – odparł O'Rourke. – Wszystko gra? Trochę pani jakby rozkojarzona, jeśli wolno zauważyć.

Katie poprawiła palcami włosy i obciągnęła żakiet.

– Ogólnie super, Francis, dzięki. Poszliśmy wczoraj wieczorem na curry i chyba trafiła mi się nieświeża krewetka.

– Może lepiej nie będę pani opowiadał, jak ja ostatnim razem napasłem się curry. – O'Rourke uśmiechnął się. – Znajomi i rodzina nie widzieli mnie na oczy przez kilka dni... I w tym miejscu postawię kropkę.

Katie usiadła.

– Co pan tam ma?

– To? Dane statystyczne o wyrokach skazujących imigrantów, o które pani prosiła. Przepraszam, że tak długo mi zeszło, ale właśnie odebrałem zgłoszenie z domu opieki Mount Hill w Montenotte. Znaleźli martwą pensjonariuszkę i lekarz, który ją obejrzał, mówi, że okoliczności są jakieś podejrzane.

Katie poczuła, że znowu ściska ją w brzuchu. Przymknęła powieki i zakryła usta dłonią. Nie wiedziała, iść do łazienki

czy nie iść, ale nudności po chwili ustąpiły. Mimo to było jej zimno i oblewał ją pot.

– Aby na pewno dobrze się pani czuje? – spytał z empatią O'Rourke, przechylając głowę.

– Tak, wszystko w najlepszym porządku, to minie. Kim jest denatka?

– Osiemdziesiąt trzy lata. Pielęgniarka znalazła ją rano w łóżku. Najpierw myśleli, że zeszła z przyczyn naturalnych. W końcu to dom opieki dla emerytów, więc zdarza się dość regularnie, że pensjonariusze umierają.

– To dlaczego lekarz mówi, że okoliczności śmierci są podejrzane?

– Wezwano go, żeby stwierdził zgon. Ale on po krótkich oględzinach wykrył w zwłokach ciało obce.

– Ciało obce? Jakiego rodzaju?

Detektyw komisarz dotknął palcem kołnierzyka koszuli, jak gdyby odpowiedź na pytanie sprawiała mu trudność.

– Hm, to była figurka – odparł po chwili. – Błogosławionej Dziewicy, jeśli chodzi o ścisłość. Lekarz ją wziął i wyciągnął, bo tak mu nakazywał szacunek, ale poza tym w ogóle nie dotykał ofiary.

– Miała wetkniętą figurkę Maryi Dziewicy?

– Świętokradztwo jakby, prawda? Ale właśnie tak. Detektyw sierżant Ni Nuallán i detektyw O'Donovan pojadą tam, żeby się rozmówić z dyrektorem i pielęgniarkami, powiadomiłem też sekcję techniczną. A sierżant Ni Nuallán zgłosiła sprawę do biura koronera, oczywiście.

– Wiemy, kim ona była, ta zmarła? – spytała Katie.

– Oficjalnie jeszcze jej nie zidentyfikowano, ale wydaje się, że to siostra Bridget Healy z klasztoru Bon Sauveur w Saint Luke's Cross.

– Coś mi się kojarzy – powiedziała Katie. – Dlaczego ta nazwa mi się kojarzy?

– Zielonego pojęcia nie mam, pani nadkomisarz – odparł detektyw O'Rourke. – Bo na ogół to rzadko mnie do

zakonnic nosi.

Katie wstała.

– Chyba sama tam pojadę, tak żeby się zorientować. Może wybrałby się pan ze mną?

– No jasne – odparł komisarz i po chwili dodał: – Jest w tym coś takiego, że nos aż się sam wykręca, nie?

– Ile razy słyszę o podejrzanej śmierci i klasztorze w jednym zdaniu, zawsze mi coś śmierdzi. Może w tym przypadku się mylę, ale chcę tam pojechać i powęszyć.

– Jak pani sobie życzy. Proszę. – O'Rourke podał jej teczkę, którą przyniósł. Przydzielono go do komendy przy Anglesea Street dopiero przed siedmioma tygodniami, lecz Katie zaczynała mu ufać i na nim polegać. Był niski i tęgi, kasztanowe włosy miał podgolone na bokach tak, że sterczały spod nich czerwone uszy, ale góra czupryny układała się w fale. Twarz okrągła z nosem jak bąbel i bardzo jasne zielone oczy. Stale uniesione brwi sprawiały wrażenie, że jest mile zaskoczony czymś, o czym się właśnie był dowiedział. Bardziej przypominał poczciwego wujka niż komisarza Garda Siochána, ale Katie szybko stwierdziła, że umie trafnie oceniać charaktery, jest czujny oraz wyjątkowo uparty i dociekliwy.

Jego żonę Maeve cechowała podobna nieustępliwość. Gdyby się pobili w czasie domowej sprzeczki, Katie miałaby kłopot ze wskazaniem faworyta.

O'Rourke stuknął palcem w teczkę.

– W ciągu minionego półrocza wskaźnik skuteczności dochodzeń przeciw imigrantom spadł o osiem procent. Deportowano o trzynaście procent mniej nielegalnych. Pomyślałem sobie, że chce pani usłyszeć potwierdzenie, że w tej batalii dostajemy kopy.

– Jakbym sama nie wiedziała. Jutro po południu mamy naradę w NASC* poświęconą przestępczości wśród

---

* NASC, Irish Immigrant Support Centre, organizacja w Cork wspierająca imigrantów.

imigrantów, będzie można poruszyć tę kwestię. Bo nadal zbyt wielu jest świętoszkowatych dobroczyńców, którym się zdaje, że wydalenie z kraju imigranta za gwałt czy rabunek to to samo co zsyłka do Australii w czasach głodu. *The Fields of Athenry** i takie tam.

Detektyw komisarz O'Rourke się skrzywił.

– No, jakoś nie widzę związku między historią o Michaelu, który skradł Trevelyanowe zboże, żeby nakarmić swoją zagłodzoną dziatwę, a tym, że przybysz z jakiegoś Bubulandu w biały dzień szlachtuje nożem ciężarną kobietę, bo nie chciała mu po dobroci oddać komórki.

Katie zdjęła z wieszaka gabardynowy płaszcz w kolorze bordo. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie wstąpić jeszcze raz do łazienki, ale jej żołądek jakby się uspokoił. Łykała witaminę B6, piła herbatę imbirową i z pewnością nie cierpiała takich katuszy jak te, o które przyprawiał ją niegdyś Seamus, Boże, miej w opiece jego malutką duszę.

◆ ◆ ◆

Dzielnica Montenotte leżała na stromiźnie północnej części miasta i w jasne dni z domu opieki Mount Hill można było podziwiać panoramę rzeki Lee, śródmieścia oraz niewyraźnych zielonych wzgórz, które za nim majaczyły. Tego ranka powietrze było zamglone i zimne jak cmentarz, ale Katie przewidywała, że mgła, ozłocona blaskiem słońca, wkrótce się rozwieje.

Ośrodek urządzono w klasztorze zbudowanym w latach osiemdziesiątych XIX wieku z myślą o ludziach schorowanych i starych. Pomalowana na szaro fasada miała ponad osiemdziesiąt metrów długości i pięła się na wysokość trzech kondygnacji; w dachu pokrytym ciemną dachówką

---

* *The Fields of Athenry* (Pola Athenry) – tytuł popularnej irlandzkiej pieśni folkowej, od lat nieoficjalny hymn kibiców piłkarskiej reprezentacji tego kraju.

tkwiły okna świetlikowe. Przed gmachem stały dwa radiowozy, a także biała furgonetka sekcji technicznej i karetka pogotowia.

Kiedy skręcali z Middle Glanmire Road na parking, Katie stwierdziła z ulgą, że nie widzi znajomych pojazdów dziennikarzy i ekip telewizyjnych. Nie była w nastroju, by mierzyć się z nagabywaniami o podejrzany zgon sędziwej siostry z Bon Sauveur.

Detektyw sierżant Ni Nuallán czekała na Katie i O'Rourke'a na schodach wejściowych. Od jakiegoś czasu zapuszczała blond włosy i upinała je w warkocz; dziś była w granatowym płaszczu z kaszmiru, ściągniętym ciasno paskiem. Z opuchniętymi oczami i nieumalowana, i tak ładnie się prezentowała.

– Dużo do oglądania to tutaj nie ma – rzuciła. – Jedna staruszka, która wyzionęła ducha, i gromada innych staruszków, którzy wnet podrepczą tym samym szlakiem.

– Odjazdowy płaszcz, Kyno – pochwaliła Katie, kładąc rękę na jej ramieniu. – Też by mi się taki przydał.

– O, dzięki. Ale to tylko Marks and Spencer. Dawali zniżkę trzydzieści pięć euro, więc jak mogłam darować, no nie?

– Pomówiła już pani z personelem?

Detektyw sierżant Ni Nuallán wyjęła notes.

– Zamieniłam parę słów z dyrektorem Noelem Pardoe i Neviną Cormack, pielęgniarką oddziałową. A także z doktorem McNallym. To on został wezwany, kiedy znaleziono siostrę Bridget, ale musiał wyjechać do pacjenta. Tak na wszelki wypadek dał mi numer komórki.

Pchnęła ciężkie politurowane drzwi z dębowego drewna prowadzące do ogromnego holu. Katie i detektyw komisarz O'Rourke wsunęli się za nią do środka. Obok dyżurki stał zmartwiony mężczyzna w za luźnej tweedowej marynarce i rozmawiał z recepcjonistką o włosach kręconych na lokówkę. Był gruby i wyglądał niechlujnie – przekrzywiony krawat,

brzuch wyzierający spod białej koszuli. Jego czupryna miała barwę i fakturę płatków śniadaniowych Shredded Wheat, skóra zaś zachowała pomarańczowy odcień po letniej opaleniźnie.

– Panie Pardoe, przedstawiam panu detektyw nadkomisarz Maguire i detektywa komisarza O'Rourke'a.

Noel Pardoe wyciągnął pulchną dłoń ze złotym sygnetem.

– Proszę, proszę! Detektyw nadkomisarz, co? Nigdy bym nie pomyślał, że zgon siostry Bridget jest aż tak tajemniczy i że zwabi tu wysokie szarże.

Katie zignorowała rękę i posłała mu zdawkowy uśmiech.

– Każda podejrzana śmierć zasługuje na moją uwagę, panie Pardoe, nawet jeśli nie zawsze zjawiam się osobiście na miejscu zdarzenia.

– Oczywiście. Gdzież bym śmiał sugerować, że nie poświęci pani tej sprawie całej uwagi. Jestem pewny, że tak będzie. Ale na przekór jedynej nietypowej okoliczności towarzyszącej zgonowi siostry Bridget...

– Ma pan na myśli figurkę?

– Tak, właśnie, figurkę – potwierdził Noel Pardoe i oblizał usta, jakby słowo to miało wyczuwalny przykry smak. – Niezależnie od tego powinna pani wiedzieć, że nasz personel pielęgniarski otacza pensjonariuszy troskliwą opieką i zdziwiłoby mnie bardzo, gdyby się okazało, że siostra Bridget nie odeszła z przyczyn naturalnych. Miała słabe serce i problemy z wątrobą, jak wyjaśniłem pani sierżant. Nikt się tu nie spodziewał, że pobędzie z nami na tym świecie o wiele dłużej, niech ją Bóg błogosławi.

– Kwestię przyczyn śmierci pozostawmy koronerowi, dobrze? – wpadła mu w słowo Katie. – Chciałabym teraz zobaczyć zmarłą, jeśli wolno.

– Oczywiście, to żaden kłopot. Wasi technicy są już na górze.

– Później zamieniłabym chętnie słowo z pielęgniarką oddziałową.

– Tak, naturalnie. Uprzedzę Nevinę, że pani tu jest.

Gospodarz zaprowadził troje policjantów do windy. Stanęli ciasno twarzami do siebie i w niezręcznym milczeniu wjechali na drugie piętro. Gdy szli gęsiego korytarzem, lewy but Noela Pardoe skrzypiał na parkiecie z odgłosem przypominającym kwakanie kaczki.

– No to zostawiam państwa – powiedział, jakby chciał czym prędzej się stamtąd ulotnić. – Później, kiedy skończycie, spotkamy się na dole.

Pokój siostry Bridget wychodził na ogród na tyłach ośrodka; z okna widać było drzewa w kolorze rdzy oraz skalniak z posągiem Maryi trzymającej w objęciach Dzieciątko Jezus. Katie skojarzył się z kobietą, która czeka na przystanku autobusowym.

Bill Phinner, główny patolog, stał obok wysokiego szpitalnego łóżka, a młoda laborantka klęczała z małym ręcznym odkurzaczem i pobierała próbki z cętkowanego zielonkawego dywanu. Drugi technik usuwał kurz z szafki nocnej, przygotowując ją do analizy daktyloskopijnej. Phinner, chudzielec z zaczesanymi do tyłu siwymi włosami i głęboko zapadniętymi policzkami, niewiele się różnił od denatki, którą miał badać.

– Dzień dobry pani – rzucił do Katie, nie spoglądając w jej stronę.

– No i co tam, Bill? – odpowiedziała pytaniem. W pokoju panował nieprzyjemny skwar, więc rozpięła kołeczki spinające poły płaszcza.

Przy ścianie na lewo znajdował się wysoki mahoniowy regał zawalony książkami – głównie były to Biblie lub żywoty świętych – i przeróżnymi drobnymi dewocjonaliami i posążkami. Najbardziej rzucała się w oczy monstrancja: stojak z pozłacanym promienistym rozbłyskiem i okrągłym kryształem pośrodku, w którym tkwił opłatek, ciało Chrystusa. Był jeszcze szkarłatny kryształowy różaniec oraz gipsowa figurka świętego Franciszka z rozpostartymi ramionami,

otoczonego przez ptaszki i króliczki. Jednemu odpadł łebek.

Na wierzchu stosu złożonych koców w nogach łóżka, zapieczętowana w torebkę na dowody, leżała bladoniebieska figurka Maryi Dziewicy, którą lekarz wyjął z ciała siostry Bridget. Figura patrzyła przez warstwę folii z beztroskim wyrazem lica w różowym odcieniu pigułek.

Katie podeszła do łóżka i spojrzała na siostrę Bridget, która ze swoim dużym haczykowatym nosem, spiczasto zakończonym podbródkiem i zaciśniętymi mocno ustami przypominała jastrzębia. Oczy częściowo przysłaniały powieki, jakby nieboszczka spała, ale Katie dostrzegła na białkach drobne plamy wyglądające jak maciupkie czerwone kijanki.

– Wybroczynowe krwawienie spojówki – wyrecytował Bill suchym chropawym głosem. – Własną poduszką zdławiona, że tak to określę.

– Więc jednak nie przyczyny naturalne?

– No skąd! Uduszenie, bez cienia wątpliwości.

– A figurka?

– Maryja Niepokalanego Serca. Zrobiona z dobrej jakości tworzywa i kamienia, ręcznie malowana, wysokość dwadzieścia pięć i pół centymetra, można trzymać w pomieszczeniu, można i poza. Na cokoliku znak producenta, Pilgrim Fine Editions, da się więc ustalić, gdzie ją nabyto. Powiedziałbym, że cena mogła wynieść do trzystu euro, lekko licząc.

– Są na niej odciski palców?

– Kilka fragmentarycznych smug, ale w laboratorium pewnie uda nam się je powiększyć.

– Kiedy ją włożono? – zapytała Katie. – Przed uduszeniem czy po?

Bill uniósł bawełniany, sięgający do kostek szlafrok frotté. Siostra Bridget była chuda jak kościotrup, skórę znaczyły łuszczące się miejsca i ciemnoczerwone plamy – typowe u osoby ze schorzeniem wątroby. Na lewej piersi widniał duży

szkarłatny siniak w kształcie półksiężyca. Sprawca zapewne przycisnął ofiarę do łóżka nasadą dłoni. Brzuch i wewnętrzna strona kościstych ud miały więcej zasinień. Pochwa z siwymi włosami była szeroko rozwarta, na szlafroku między nogami ciemniała rozległa brązowa plama zaschłej krwi.

Laborantka zbierająca odkurzaczem drobinki z dywanu wyłączyła urządzenie i wstała; gdyby nie przenikliwy szelest jej zbyt dużego kitla z syntetyku, w sali panowałaby kompletna cisza. Bill jeszcze przez chwilę trzymał szlafrok w górze, a potem ostrożnie i z szacunkiem okrył zmarłą. Nie musiał nic mówić. Katie zdawała sobie sprawę, że skoro siostra Bridget krwawiła podczas napaści, to jej serce wtedy wciąż biło.

Rozdział 3

Wrócili do holu, gdzie Noel Pardoe czekał z Neviną Cormack. Oddziałowa była niską kobieciną w okularach o grubej oprawce i z toporną strzechą czarnych włosów przetykanych siwymi pasmami, podstrzyżoną wysoko na szyi. Była w szarym grubym zapinanym swetrze, który prawdopodobnie sama zrobiła na drutach. Kiedy podeszła bliżej, żeby się przedstawić, Katie poczuła mocną piżmową woń ani trochę niepasującą do jej rodzaju skóry.

– Z przykrością potwierdzam, że siostra Bridget została celowo uduszona – oświadczyła nadkomisarz.

– Ach, więc nie umarła z przyczyn naturalnych? – zdziwiła się Nevina Cormack. – Bo zdrowie nie bardzo jej dopisywało, wie pani.

– Niestety, zaatakowano ją, a potem uduszono poduszką.

Oddziałowa się przeżegnała.

– Okropność! Nie wyobrażam sobie, kto by mógł coś takiego zrobić! Już mówiłam wcześniej pani sierżant, że rano nikt jej nie odwiedzał i w całym budynku nie widzieliśmy nikogo podejrzanego.

– Czy siostra Bridget cieszyła się tutaj sympatią? – zapytała Katie.

– No tak, oczywiście. Miała swoje humory, jak to większość starszych osób. Ale nie mogę stwierdzić, żeby jej

nie lubiano.

– Ta kobieta umarła – zauważyła Katie. – Cokolwiek pani o niej powie, jej to już nie zaszkodzi, a jeśli chcemy odkryć, kto ją zabił, powinnam usłyszeć prawdę.

Nevina Cormack zerknęła na Noela. Ten się skrzywił i wzruszył ramionami, jakby jej w ten sposób sygnalizował, że ma być szczera.

– Uczciwie powiedziawszy, siostra miewała ciągoty do wyniosłości.

– Do wyniosłości?

– Często gęsto zapominała, że już nie kieruje klasztorem Bon Sauveur, zdawało jej się, że ma pod sobą cały ośrodek. Pielęgniarki były wobec niej bardzo, bardzo cierpliwe, ale ona oczekiwała, że będą na każde skinienie jej rąk i nóg, że się tak wyrażę, i nigdy nie usłyszały od niej słowa podzięki. Stale się awanturowała z jednym naszym pensjonariuszem, mężczyzną, bo za każdym razem zajmowała jego krzesło w sali telewizyjnej.

– Będziemy musieli z tym panem porozmawiać – oznajmiła Katie. – Ale z tego, co pani mówi, nie wynika, by ktoś tutaj chował do siostry Bridget aż tak wielką urazę i chciał ją udusić.

– Staramy się tworzyć rodzinną atmosferę – zapewniła oddziałowa. – Jak już wspomniałam, wielu naszych pensjonariuszy ma swoje nawyki, niektórzy nie wiedzą nawet, gdzie są i kim są, niech ich Bóg ma w opiece. Ale nijak sobie nie wyobrażam, by któryś z nich potraktował siostrę Bridget w taki sposób.

Stała przez chwilę niespokojnie, zaciskając i otwierając pięści.

– Czy to już wszystko? – spytała. – Bo niedługo lunch, a ja mam dużo obowiązków.

– Tak, tak, oczywiście, proszę robić swoje – odparła Katie. – Może będziemy chcieli z panią jeszcze pomówić, ale na razie to tyle. Za chwileczkę zabierzemy ciało siostry

Bridget i trafi na autopsję do kliniki uniwersyteckiej. Pozostaniemy w kontakcie, żeby mogła pani poinformować jej krewnych i znajomych.

– Nic mi nie wiadomo, by jakichś miała – powiedziała oddziałowa. – Żaliła mi się kiedyś, że wszyscy jej bracia, siostry i dalsi krewni poumierali i została samiutka na świecie.

Katie, O'Rourke i Ni Nuallán wyszli; detektyw sierżant O'Donovan ruszył im naprzeciw. Mgła się rozproszyła i mokry parking oślepiał blaskiem, więc Katie założyła okrągłe okulary przeciwsłoneczne.

– Przepytałem już prawie wszystkich pensjonariuszy, pani nadkomisarz – oznajmił O'Donovan. – Mniej więcej jedna trzecia coś tam kuma, ale reszta, zgodnie ze słowami oddziałowej, nie odróżni noża od widelca.

– Może któremuś przytrafił się incydent psychotyczny? – zasugerowała Katie.

– Teoretycznie byłoby to możliwe. Ale żaden z tych, których dotąd przesłuchałem, nie miałby tyle siły, żeby przytrzymać siostrę Bridget i ją zmasakrować, mimo że starowinka z niej była i chucherko. Niewielu byłoby w stanie unieść rękę i pacnąć komara.

– A ktoś z zewnątrz, odwiedzający? – dopytywał O'Rourke.

– Tego dnia rano nikt nie widział, by ktoś przychodził w odwiedziny do siostry Bridget – odpowiedziała Ni Nuallán. – W każdym razie do ośrodka nie wpuszczają nikogo, dopóki pensjonariusze nie zjedzą lunchu, czyli do około dwunastej w południe. Jeśli staruszkowie za bardzo się podniecą lub zaniepokoją, odbiera im to apetyt. Ale jest nagranie z kamery monitoringu w recepcji, więc je obejrzymy. Do budynku można wejść jeszcze tylko przez bramę ogrodową. Tyle że zawsze ją zamykają, żeby pensjonariusze nie mogli się zabłąkać poza teren.

– Czy waszym zdaniem ta zbrodnia miała podtekst seksualny? – spytała Katie, zbliżając się do samochodu.

Detektyw komisarz O'Rourke pokręcił głową.

– Nie wydaje mi się. Znaczy miałem parę przypadków przestępców seksualnych gustujących w paniach w określonym wieku i więcej niż parę, w których księża wykorzystywali sędziwe zakonnice. W tym przypadku... no cóż, mogły zajść obie okoliczności, ale ta figurka... Zdecydowanie uważam, że motyw miał charakter religijny, a nie seksualny.

– I ja tak myślę – przytaknęła detektyw sierżant Ni Nuallán. – To jest jakby zamierzone świętokradztwo, deklaracja w rodzaju: twoja religia tak mi dopiekła, że się nią posłużę i odpłacę ci pięknym za nadobne.

– Możliwe, że jesteście na właściwym tropie – przyznała Katie. – Niewykluczone, że sprawca mógł być zwykłym pomyleńcem. Z drugiej jednak strony, bardziej prawdopodobne wydaje się, że ktoś chciał się zemścić na siostrze Bridget, bo miał jej coś za złe.

Zawiesiła głos.

– Może nie chodziło mu o zemstę na samej siostrze Bridget – dodała. – To znaczy nie na niej konkretnie, ale na zakonnicach z Bon Sauveur lub w ogóle na siostrach zakonnych. Kiedy się pomyśli o księżach, którzy byli zabijani w odwecie za molestowanie młodych chłopców...

Katie otworzyła drzwi samochodu.

– Kyno – zwróciła się do sierżant Ni Nuallán – może pojechałaby pani do klasztoru Bon Sauveur i popytała o siostrę Bridget? Wątpię, czy jest tam jeszcze ktoś, kto by ją znał osobiście, ale może zachowała się opinia o niej. Może krążą jakieś opowieści, a na pewno muszą być dokumenty.

– No jasne. Od razu tam uderzę. Dokończenie rozmów z tutejszymi pensjonariuszami zajmie nam pół godziny. Zwłaszcza z tym gościem od krzesła. Pamiętam, że mój dziadzio dostawał kręćka, kiedy go ktoś podsiadał na jego ulubionym fotelu.

– Racja – przytaknęła Katie. – Mordowano już ludzi z

błahszych powodów.

◆ ◆ ◆

Po powrocie na komendę wstawiła czajnik, żeby zaparzyć sobie herbaty imbirowej. Kiedy nalewała wody, zabrzęczał jej iPhone. John w SMS-ie pytał, czy Katie skończy na tyle wcześnie, by zdążyli się wybrać wieczorem na kolację do Eastern Tandoori.

Jeszcze nie przyznała mu się, że jest w ciąży. Nie zdążyła obmyślić, w jaki sposób to wytłumaczy. Wrócił aż z San Francisco, żeby z nią być i naprawić ich związek. Przysięgał, że przez ten czas nie zdradził jej z żadną kobietą. Prędzej czy później będzie musiała mu powiedzieć. Również to, że ojciec dziecka, najbliższy sąsiad, okazał się jednym z tych, którzy maltretują żony.

Dotąd udawało jej się maskować poranne mdłości tak jak przed detektywem O'Rourkiem, któremu oznajmiła, że źle się czuje po trefnej krewetce zjedzonej w hinduskiej restauracji. Była to najbardziej niestrawna rzecz, jaka jej się nasunęła, a teraz John chciał iść właśnie na curry. Eastern Tandoori był od dawna jednym z jej ulubionych lokali; mieścił się na piętrze przy Emmet Place i widać z niego było rzekę. Teraz jednak mdliło ją na samą myśl. Już czuła w nosie zapach kozieradki.

Usiadła przy biurku i odpisała:

> Mogę się zasiedzieć. Wybacz. Wpadło nam ważne śledztwo. Chyba trzeba będzie wziąć coś na wynos. XXX.

Nadal pisała, kiedy wszedł komendant Denis MacCostagáin, postawny mężczyzna z zaokrąglonymi barkami i wiecznie grobową miną. Detektyw Horgan przezywał go za jego plecami Aingesoir, czyli Smętek, bo zawsze robił wrażenie strutego. Ale już w dniu awansu

MacCostagáin z łatwością wszedł w nową rolę. Nie wyzbył się ponuractwa, lecz był dobrze zorganizowany i brał się do wszystkiego tak metodycznie, że Katie chwilami ledwie to znosiła. Na szczęście nie okazał się mizoginem; rozmawiał z nią posępnie drętwym tonem, tak samo jak z resztą funkcjonariuszy. Nie przejawiał wobec niej żadnych uprzedzeń, choć o względach także nie mogło być mowy.

Podszedł do biurka z wydartą kartką z notesu w dłoni i patrzył na nią dłuższy czas bez słowa, jakby nie był pewny, skąd się wzięła.

– Znaleziono martwe konie – zakomunikował wreszcie.

– Martwe konie? – powtórzyła Katie. – Gdzie dokładnie?

– U stóp urwiska w Nohaval Cove. Dwadzieścia trzy, taką liczbę podaje Kenneth Kearney. Jakiś obywatel to zgłosił i Kenneth wysłał na miejsce pracownika ISPCA*, który zastał jedno zwierzę żywe, ale w bardzo złym stanie, z trzema złamanymi nogami, więc je zastrzelił.

– W Nohaval Cove? Klify są tam potwornie strome. Jak się te konie dostały na dół? Przecież ich nie spędzono, prawda?

– Kenneth chyba tak właśnie sądzi. Albo je spędzono, albo zrzucono z góry. Od szczytu do plaży jest prawie osiemdziesiąt pięć metrów, więc to cud, że ten jeden koń przeżył.

Komendant MacCostagáin zerknął na swój zegarek, choć na ścianie gabinetu Katie wisiał duży zegar.

– Jakie ma pani plany na dzisiaj? Bo chodzi o to, że zbierają się tam dziennikarze, a wiem, że świetnie sobie pani radzi z mediami. Pokażemy, że sprawa jest dla nas ważna, jeśli wyślemy na miejsce wysokiego funkcjonariusza. Wie pani, opinia publiczna bardziej się przejmuje okrucieństwem wobec zwierząt niż tym, że ktoś maltretuje kobiety albo dzieci.

– Co racja, to racja – przyznała Katie i wstała. – No więc

---

* ISPCA, Irish Society for the Prevention of Cruelty to Animals (Irlandzkie Towarzystwo Przeciwdziałania Okrucieństwu Wobec Zwierząt).

dobrze, zabiorę ze sobą Horgana i Dooleya. Domyślam się, że już pchnął pan tam radiowóz?

– Trzy nawet. Dwa stąd i jeden z Carrigaline. Bill Phinner wysyła ekipę techniczną. Chcę, żeby teren wokół klifu był jak najprędzej odcięty kordonem. Wieść zaraz się rozniesie i jak to zwykle bywa, zbiegnie się od groma ciekawskich. A lepiej żeby nam nikt nie spadł ze skały i nie złamał sobie karku.

Po wyjściu MacCostagáina Katie upiła łyk herbaty imbirowej, ale się oparzyła i musiała ją odstawić. Rano mdłości nie pozwoliły jej nic zjeść, więc teraz cieszyła się, że zabrała z domu zapakowaną w folię aluminiową kanapkę z chleba sodowego z kurczakiem – resztkę po wczorajszej kolacji. Wyjęła ją z szuflady biurka i wsunęła do torby.